

Polskie oblicza Chrystusa **Ojciec Wenanty Katarzyniec** **K.**

Pierwowzorem wszelkiego stworzenia jest Jezus Chrystus. Każdy chrześcijanin winien tak żyć, by w jakimś sensie stał się drugim Chrystusem. Żaden jednak człowiek nie dorówna w pełni doskonałości Zbawiciela. Nie zdoła tego dokonać największy nawet święty, nie wyłączając również Najświętszej Maryi Panny. Do idealnego wzoru zbliżyli się oni tylko ułamkowo. Niemniej w każdym świętym objawia się w jakiś cząstkowy sposób Chrystus. Ukazuje nam się na różnorakie sposoby, w każdym człowieku, w każdym świętym trochę inaczej, bo nieskończone doskonały Bóg nie może zmieścić się w ograniczonym stworzeniu. Proces objawiania się Chrystusa, Jego postaci, Jego oblicza trwać będzie do końca świata we wszystkich ludziach, a zwłaszcza w świętych. Dzieje się to również przez świętych, którzy wychodzą z polskiego narodu. Dlatego sylwetki naszych świętych i kandydatów na ołtarze podajemy pod wspólnym nadtytułem: „Polskie oblicza Chrystusa”. W szeregu tych postaci ma miejsce również o. Wenanty Katarzyniec.

Gdyby nie było ojca Kolbego i kard. Stefana Wyszyńskiego, nie byłoby zapewne Polaka na Stolicy Piotrowej – powiedział Ojciec Święty Jan Paweł II. Uwarunkowanie to można rozszerzyć i ująć inaczej: Gdyby nie było X, Y, Z, nie byłoby być może Prymasa Tysiąclecia i św. Maksymiliana. Zamiast X, Y, Z można oczywiście wstawić konkretne nazwiska. Łańcuch ich mógłby być bardzo, bardzo długi, bo tak Bóg postanowił, że zbawienie – a więc świętość – jednych uzależnił od innych ludzi. Zgodnie z tą prawdą, również na drodze św. Maksymiliana postawił Bóg szereg ludzi, którzy w różnoraki sposób (pozytywnie i negatywnie) przyczynili się do jego uświęcenia. Na pewno w szeregu tym znajdowali się rodzice Świętego, wychowawcy, koledzy... Wszystkich nie wyliczymy. Z tej długiej listy chcemy wybrać jednego, tego, którego sześćdziesiąta druga rocznica śmierci przypada na dzień ostatniego marca – o. Wenantego Katarzyńca. Najpierw krótki jego życiorys:

Urodził się 7 X 1889 r. w małej wiosce Obydów odległej o kilkadziesiąt kilometrów od Lwowa. Na chrzcie św. otrzymał imię Józef. Ubodzy rodzice: Jan i Agnieszka z domu Kozdrowicka nie mogli zapewnić mu wygód w dzieciństwie, ale wszczepili głęboko w jego duszę zasady wiary i życia chrześcijańskiego. Jak każde dziecko wiejskie pomagał rodzicom.

Chodził do wiejskiej szkółki, potem w Kamionce Strumiłowej i wreszcie zapisał się do seminarium nauczycielskiego. Dopiero po ukończeniu tego seminarium mógł urzeczywistnić swoje gorące pragnienie wstąpienia do seminarium duchownego. OO. franciszkanie przyjęli go do swego nowicjatu we Lwowie. Świecenia kapłańskie otrzymał 2 czerwca 1914 r. W sierpniu tego roku odprawił prymicyjną Mszę św. w rodzinnej parafii, w Kamionce Strumiłowej. Wybuch wojny zmusił go do pozostania w domu rodzinnym. Gdy okoliczności pozwoliły, przedostał się do Lwowa. Stąd skierowano go do pobliskich Czystek, gdzie przez niepełny rok pełnił obowiązki wikariusza parafii. Dnia 23 sierpnia 1915 r. powrócił do Lwowa, aby jako magister nowicjatu zająć się wychowywaniem młodych kandydatów do zakonu. Spełniał to zadanie prawie do końca swego krótkiego życia. Po kilku bowiem latach zapadł na gruźlicę. Zabiegi lecznicze nie pomagały, choroba robiła postępy, zwolniono go więc z obowiązków magistra i przeniesiono do Kalwarii Paclawskiej, gdzie zmarł 31 marca 1921 roku.

Życie pospolite, proste, nic nadzwyczajnego, podobne do życia tysięcy i milionów innych ludzi. A jednak niezupełnie takie samo. W jego życiorysie uderza szczególny fakt: Wszędzie, gdziekolwiek, się znalazł, otoczenie dostrzegało w jego osobowości coś niepospolitego, co go odróżniało od innych.

Gdy jako chłopiec urządził w domu nabożeństwa i próbował odtwarzać ceremonie Mszy Św., jego rodzice czuli się onieśmieleni, nie wiedzieli, jak się do tego ustosunkować: zabronić, czy pozwolić. Ojciec szukał rady aż u proboszcza. Rówieśnicy, gdy Józek ich upominał lub wzywał do modlitwy wspólnej, odnosili się do niego z szacunkiem. Najmniej wiadomości o nim posiadamy z okresu nauki w seminarium nauczycielskim we Lwowie. Ale i tu jego katecheta zeznał: „Tyle lat uczyłem w szkołach i miałem styczność z tyloma chłopcami, ale ani przedtem, ani potem nie miałem ucznia podobnego jemu”. W seminarium franciszkańskim koledzy i profesorowie zauważyli, że choć był taki jak inni klerycy, był jednak nieco odmienny. W Kamionce Strumiłowej wystarczyło 6 tygodni pobytu, aby parafianie zapamiętali na stałe młodego prymicjanta. Jako wychowawca zakonnej młodzieży zapisał się w pamięci nie tylko wychowanków. Po dziesiątkach lat powtarzano w klasztorach franciszkańskich różne powiedzenia i czyny nieprzeciętnego magistra. Bardzo ciekawy szczegół mamy też z Kalwarii Paclawskiej. Tam zakończył życie. Jako ciężko chory nie mógł zbyt wiele zdziałać dla miejscowych ludzi, a jednak gdy umarł, cała parafia wzięła udział w pogrzebie i z miejsca zaczęto modlić się do niego. Do dziś dnia na grób jego (choć prochy jego zostały przeniesione gdzie indziej) trzeba przynosić ziemię, by wyrównać dół powstający każdego roku po ubytku ziemi wybranej przez czcicieli Świętego, jak ogólnie jest nazywany. Któż tym ludziom powiedział, że to święty? To coś mówi, gdy umierający zakonnik w ciągu tak krótkiego czasu zdobył tyle serc.

Niewątpliwie był zwyczajny, ale jeśli była to zwyczajność, to była ona nadzwyczajna.

Może powstać wrażenie, że był to święty z urodzenia. Rzeczywiście, w jego życiu nie ma poważniejszych wahań, załamań, kluczenia. Do Boga zmierzał drogą raczej prostą, bez przestojów i cofania się. Ale czy można wierzyć naiwnie, że nie odczuwał przykrości, gdy koledzy kpili z niego jako ze świętoszka? Gdyby sądzić z pozorów, można by dojść do przekonania, że o. Wenanty był pozbawiony wrażliwości i nie umiał odczuwać w sposób właściwy rzeczy przykrych. Bo jak to wytłumaczyć, że zawsze chętnie śpieszył do chorej stoczonej przez raka, której unikali inni kapłani, gdy trzeba do niej było iść z posługą duchową. Z błędu wyprowadza radykalnie świadek, który stwierdził, że Katarzyniec każdą wizytę u tej nieszczęśliwej osoby mniej lub bardziej odchorował. Naturalną odrazę odczuwał więc jak każdy, ale z miłości Boga i nieśmiertelnych dusz umiał pokonywać swoje słabości. A jego radość, jaką okazywał w podobnych sytuacjach, nie była pozą, lecz szczerym nadprzyrodzonym wyrazem stanu duszy. Odczuwał też ból i cierpienia, jak każdy gruźlik. Przez pewien krótki zresztą czas przeżył lęk przed zbliżającą się śmiercią, wnet jednak przyszło opanowanie i uspokojenie.

Ta jego „inność”, jaką ujawniał przez całe życie, była wynikiem solidnej współpracy z łaską Bożą; to po prostu jego świętość, którą ludzie wyczuwali spontanicznie, jak i u podobnych mu osób.

Wyczuł ją również św. Maksymilian, gdy się z nim zetknął. Jako do bratniej sobie duszy zwracał się do niego o rady i pomoc w różnych trudnościach, jakich miał nie mało. Rozumieli się nawzajem i dodawali sobie odwagi i zachęty w drodze do doskonałości. Bóg jeden wie, ile skorzystali od siebie nawzajem. Ale na pewno zdanie, że nie byłoby św. Maksymiliana, gdyby nie było o. Wenantego Katarzyńca, jest w jakimś stopniu uzasadnione.

K.

K., Polskie oblicza Chrystusa. Ojciec Wenanty Katarzyniec, RN 3(1983)80-82.